

#niegrzecznenowe

motyleWiosie



SPADEK

Agnieszka Kowalska-Bojar

#niegrzecznenowe

Spadek

Agnieszka Kowalska-Bojar

www.motylewnosie.pl

Poznań 2024

[Kup książkę](#)

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar

Wydanie I

Poznań 2024

Ebook ISBN 978-83-66352-47-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejsze pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Redakcja i korekta: Karolina Przybył

Wydawnictwo:

motyleWnosie

motylewnosie@gmail.com

Ebooki i książki kupisz na stronie:

www.motylewnosie.pl

www.sklep.motylewnosie.pl

[Kup książkę](#)

PATRONAT



Aleksandra NS
Blog



Kup książkę

Wakacje. Słońce. Rozgrzany piasek na plaży, fale leniwie uderzające o brzeg. Gwar głosów, bezmiar ludzkich głów i co chwilę pobrzmiwające okrzyki: „Gorąca kukurydza!”. Wieczorem przyjemny chłód bijący od morza, malowane czerwienią i złotem zachody słońca, fale obmywające bose stopy podczas romantycznego spaceru.

Otworzyłam oczy i z niechęcią rozejrzałam się dookoła. Za mną odrapane mury starego domu, tonącego w gęszczu wyschniętych badyli, które kiedyś były ogrodem. Przede mną piaszczysta droga, nad którą unosił się kurz wzniecany podmuchami wiatru, a dalej zarośnięte chwastami nieużytki i bezkresny las.

Pustka i cisza przerywana jedynie cykaniem świerszczy.

Nie znalazłam się tu przypadkiem, o nie! Po prostu pewnego dnia dowiedziałam się, że gdzieś na totalnym zadupiu odziedziczyłam kawałek ziemi ze zrujnowaną chałupą. Właścicielką tej malowniczej posesji była daleka krewna, której nigdy dotąd nie miałam okazji spotkać. Teraz mogłam być nią ja, pod jednym wszakże warunkiem. Do końca września musiałam przeprowadzić generalny remont, aby przywrócić budynkowi dawną świetność. Trochę trudno było to sobie wyobrazić, lecz otrzymałam szczegółowe instrukcje, sporą ilość gotówki przeznaczonej na ten cel oraz wycenę całej

nieruchomości.

Dom jak dom, ale ziemia była warta tyle, że opłacało się zamknąć i tak już bankrutującą księgarnię oraz zrezygnować z zaplanowanych wakacji. Testament nie zakazywał sprzedaży po remoncie, jedynie zaufany adwokat musiał zatwierdzić należyte wykonanie prac. Spakowałam walizkę, zamknęłam mieszkanie na cztery spusty i tak właśnie znalazłam się tutaj – na kompletnym odludziu, z ruiną za plecami i rozpaczą w sercu.

Westchnęłam, powoli zanurzając się w ciemnym, śmierdzącym starością i stęchlizną wnętrzu. W zasadzie dom z powodzeniem aspirował do dumnego miana dworku. Kiedyś mogło być tu całkiem ładnie. Patrząc na odrapane, zapleśniałe ściany, podłogę pełną dziur i połamane meble walające się dookoła, zrezygnowana potrząsnęłam głową. Ekipę, którą zatrudniłam, czekało naprawdę sporo pracy. W zasadzie najlepiej byłoby rozebrać tę ruinę cegła po cegle i postawić coś nowego. Ale ta opcja nie wchodziła w grę.

Spojrzałam na sufit, zastanawiając się, czy aby przypadkiem nie runie mi na głowę, kiedy na zewnątrz dał się słyszeć warkot silnika nadjeżdżającego samochodu. Lubię samotność, ale trzeba przyznać, że tym razem wyjątkowo ucieszyłam się z cudzego towarzystwa...

Sporych rozmiarów auto, ozdobione firmowymi napisami, zaparkowało tuż przed drzwiami wejściowymi. Gdy wyszłam na zewnątrz, jego właściciel szukał czegoś w bagażniku zanurzony w nim niemal do połowy. A gdy się wyprostował...

Oczy błękitne jak niebo nad nami. Szeroki uśmiech i

biel zębów kontrastująca z opaloną skórą. Rozwichrzona czupryna i całkiem niezłe ciało.

Westchnęłam, rejestrując mętłą myśl, że pobyt tutaj może nie będzie aż tak nudny.

„Ciekawe, czy ma dziewczynę”.

Z jednej strony po wyglądzie można było wywnioskować, że pewnie tak, lecz z drugiej strony tacy jak on woleli raczej status singla i krótkie, ekscytujące przygody. Zdobyć takiego i ujarzmić, rozkochać w sobie do utraty zmysłów, ech... Odwieczne marzenie każdej kobiety.

I nagle się roześmiałam, bo zobaczyłam go zaledwie kilka sekund temu, a prawie wyobraziłam nas sobie przed ołtarzem. Frajerka. Życie to nie harlequin, a los bywa podły, zwłaszcza dla niepoprawnych marzycielek, takich jak ja.

„Czas dorosnąć, dziewczynko” – strofowałam się w duchu, podchodząc do nieznajomego.

Odwzajemnił mój uśmiech i wytarłszy zabrudzoną dłoń o nogawkę dżinsów, wyciągnął ją w moim kierunku.

– Kuba, szef ekipy, którą zatrudniłaś – wyjaśnił. – Rozmawialiśmy przez telefon.

No tak. I zdążyliśmy przejść na ty. Stąd ta bezpośredniość.

– Alina. – Odwzajemniłam uścisk, starając się nie gapić tak zachłannie na jego wyrzeźbiony tors widoczny pod rozpiętą koszulą. A jednak upiorna wyobraźnia podsunęła mi widok nas razem, całkiem nagich, w ogromnym łóżu z jedwabną pościelą. Potem nagle zmieniła zdanie, przerzucając się na opustoszałą stodołę pełną pachnącego siana. To dopiero byłoby coś... Z

niejakim wysiłkiem pozbyłam się tego widoku, przypominając sobie, że takie siano potrafiło być cholernie kłujące.

– Byłam tu wcześniej i wszystko obejrzałam. To jest kosztorys. – Podał mi plik papierów. – Z tego, co wyliczyłem, pieniędzy wystarczy na całość i jeszcze całkiem sporo zostanie.

– Zostanie? – zainteresowałam się. Nie żebym była pazerna, ale jak to się mówi: pieniądze szczęścia nie dają, ale szczęśliwi ci, co je mają. Nie widziałam więc powodu, aby lekceważąco potraktować tę kwestię. – Tego się nie spodziewałam.

– I z pewnością skończymy gdzieś w połowie września.

– Super! – Nie dość, że przystojny, to jeszcze przyniósł tak pomyślne wieści. – Napijesz się czegoś? Wstąpiłam po drodze do sklepu, bo nie byłam pewna, co tu zastanę. I słusznie – dodałam z kwaśną miną. – Ten dom to ruina.

– Zmienimy to. – Mrugnął łobuzersko.

Czym prędzej się odwróciłam i skierowałam wzrok ku czemuś, co w przeszłości z pewnością było kuchnią. Opanuj się, upomniałam sama siebie. Na próżno. Wielomiesięczny post oraz spragnione miłości serce dały o sobie znać. W końcu od rozstania z Mikołajem minęło sporo czasu, a ja nie byłam nawet na głupiej randce.

– To jest główna sień, na prawo drzwi do pokoju, na lewo do kuchni. – Zatoczyłam dookoła ręką. – Z obu tych pomieszczeń przechodzi się do ogromnego salonu znajdującego się na tyłach. Schody prowadzą na piętro. Tam mamy cztery sporych rozmiarów pomieszczenia, w

tym jedno, które przeznaczono na łazienkę. Łagodnie rzecz ujmując, czeka was dużo pracy.

– Wszystko jest do zrobienia.

– Wiem. – Z westchnieniem podałam mu puszkę coli.
– Jest z lodówki i jeszcze nie zdążyła się ogrzać. Najgorsze, że ja muszę tu zamieszkać. Sama, jeśli nie liczyć tabunów pajaków i szczurów. Dobrze, że chociaż jest prąd i woda w studni. Jak ta kobieta mogła tu żyć?

– Podobno była straszną dziwaczką – wyjaśnił, bacznie mnie obserwując. – Po okolicy krąży legenda, że zakopała gdzieś skrzynię ze złotem i klejnotami.

– Tak, pewnie. A w Krakowie żył kiedyś smok, co pożerał dziewice. Tutejszym mieszkańcom brakuje chyba emocjonujących plotek.

– Tak jakby. – Wyraźnie zagapił się w wycięcie mojej bluzki. Dyskretnie odwróciłam się plecami, udając, że szukam czegoś w torbie. Chyba się zorientował, że zrobił to zbyt ostentacyjnie, bo raptownie zmienił temat: – Jutro przyjedzie moja ekipa, więc nie do końca będziesz sama. Zanocują w przyczepie kempingowej, dobrze by było, gdybyś im udostępniła wodę.

– Studnię – poprawiłam.

– Na początek. To jedna z pierwszych prac, którą zamierzamy wykonać.

– Dużo ich będzie? – spytałam z powątpiewaniem.

– Prac? Sporo.

– Nie, miałam na myśli twoich pracowników.

– Czterech. Przez pierwszy tydzień. Potem dołączyć jeszcze ja.

Gorycz rozczarowania omal mnie nie zdławiła. Tydzień? Siedem długich dni wypełnionych pracą i nudą?

Najgorsze, że coś z tego, co w tej chwili pomyślałam, musiało się odbić na moim obliczu, bo Kuba się roześmiał. Zgniół puszkę po coli i zgrabnym ruchem wrzucił ją do stojącego niedaleko wiadra.

– Mam trochę pracy w domu rodziców – wyjaśnił. – A tutaj na początek trzeba zrobić solidne porządki. Rozebrać podłogę, wykopać rów pod rury z wodą, wyciąć te badyle w ogrodzie. Moi ludzie są solidni, z pracami wstępnymi poradzą sobie bez trudu bez nadzoru.

Przytaknęłam bez przekonania.

– Mieszkam w sąsiednim miasteczku. To zaledwie dwadzieścia kilometrów stąd, będę wpadał wieczorami, żeby sprawdzić postęp prac.

To zabrzmiało już o niebo lepiej. Poza tym miałam tydzień, by dowiedzieć się od jego pracowników wielu rzeczy. Na przykład tego, czy aktualnie był wolny.

– Byłaś na górze? – spytał zniecacka.

– Bałam się, że ta rudera się rozleci.

– Nie rozleci się. Chodź. – Ujął mnie za rękę i pociągnął za sobą. Miał ciepłą, nieco szorstką dłoń. Dużą i silną. Dawała poczucie bezpieczeństwa. A ja miałam prawdziwego fioła na punkcie męskich rąk. Bez słowa sprzeciwu wspięłam się po trzeszczących schodach, a potem rozejrzałam dookoła.

– Nie widzę nic ciekawego. Piętro jest w tak samo opłakanym stanie jak parter.

– To chodź, zobacz – powiedział tajemniczym tonem, po czym otworzył jedno z drzwi.

Ku mojemu zdumieniu jego wnętrze wyglądało więcej niż przyzwoicie. Nieco staromodna tapeta w drobne różyczki, wąskie sosnowe łóżko, średnich

rozmiarów szafa i wiklinowy fotel. Na ścianie kilka czarno-białych zdjęć w złożonych ramkach. Wielobarwne poduszki walające się po podłodze.

Weszłam do środka z wahaniem. Zauważyłam niewielką warstewkę kurzu, ale poza tym całość prezentowała się więcej niż przyzwoicie. Za oknem rozpościerał się widok na szumiący sosnowy las i błękitny pasek nieba tuż nad nim. Na leżący poniżej ogród wołałam nie patrzeć.

– Przypuszczam, że to jej sypialnia.

– Nie, to niespodzianka dla ciebie. Postarałem się, aby wcześniej dostać klucz i ją przygotować, bo przecież nie mogłem pozwolić, abyś spała w śpiworze na podłodze.

Nie musiałam udawać zaskoczenia.

– Rozwiązałeś największy problem, jaki nurtuje mnie od chwili przyjazdu. Nie wiem, czy zwykle „dziękuję” wystarczy.

– Na razie tak. Przyniosę tu twoje bagaże. O ile się nie mylę, leżą tuż przy wejściu, prawda?

Przytaknęłam i po chwili zostałam sama. Wyrżałam przez okno, uśmiechając się sama do siebie. Miło było poczuć, że ktoś znowu się o mnie troszczy. Nawet jeśli tym kimś był całkiem obcy mężczyzna. Może na razie obcy? Z jego ukradkowych spojrzeń oraz wyczuwalnego podziwu, mogłam wyczytać coś więcej, coś bardziej obiecującego.

Jedenaście lat temu moja najlepsza przyjaciółka zorganizowała dla mnie towarzystwo na bal maturalny. Tak poznałam Mikołaja, który miał być miłością mego życia. Był, owszem, ale przez pierwsze kilka lat. Potem

do naszego związku wkradła się rutyna, a on wciąż odwlekał decyzję o ślubie i dzieciach, mimo że od dawna byliśmy zaręczeni. To nie mogło się skończyć dobrze i nie skończyło. Odszedł rok temu i szczerze mówiąc, zamiast żalu i złości czułam jedynie ulgę. Wstydziłam się tego, ale cóż człowiek może poradzić na swoje uczucia? Nic. Wspólnie kupione mieszkanie sprzedaliśmy, a więc mogłam zrealizować w końcu marzenie mego życia – stworzyłam księgarnię.

Z wielu powodów interes okazał się totalną klapą. Na końcu wylądowałam tutaj, spotkałam przystojniaka o szerokim uśmiechu i w końcu poczułam wiatr w żaglach. Może za szybko, ale po raz pierwszy od rozstania z Mikołajem miałam ochotę na nową znajomość. Smętnie pomyślałam, że również na seks. W końcu należało nadrobić życiowe zaległości.

Kiedy w progu pojawił się Kuba objuczony moimi walizkami, szeroko się uśmiechnęłam. Moje plany względem niego nadal były nieco mgliste, ale jedno wiedziałam na pewno. W takich sprawach nie należy się spieszyć. A jeśli się nie uda, to za plecami miałam cały świat.

Całe popołudnie i wieczór spędziłam, poznając okolicę. Do najbliższego sąsiada miałam ponad kilometr, do wioski ponad trzy. Przekonywałam się w duchu, że spacerować się zdrowo. Kuba zaproponował rower, ale ja już od dziecka wolałam chodzić niż jeździć. Tak więc nie miałam wyboru, bo świeże bułki same nie chciały się

przynieść ze sklepu.

Rozpakowałam walizki, podziwiając widok z okna. W wychodku z serduszkciem śmierdziało i dysponowałam tylko jedną, nieco zardzewiałą miską do mycia, ale w pobliżu było jezioro, a przede mną szansa na obiecującą znajomość. Co dziwne, potrafiłam rozpalić w starym piecu. Zaparzyłam cały dzbanek mięty znalezionej w resztkach tego, co kiedyś zapewne musiało być zielnikiem.

Z tyłu domu znajdował się sporych rozmiarów kryty taras – również zrujnowany. Jego drewniana podłoga ostrzegawczo skrzypiała, ale Kuba zapewnił mnie, że to od wilgoci i że się nie zawali. Z pewnym trudem przeciągnęłam na niego ogromny, wiklinowy fotel, a obok postawiłam prowizoryczny stolik z cegieł i deski. Zapaliłam kilka świeczek, w tym dwie odstraszające komary, a potem otulona w puszysty koc skuliłam się na twardym siedzisku.

Boże! Jak tu było cicho. Ta cisza dźwięczała w uszach, koila i uspokajała. W mieście nigdy tak nie bywało, więc lekko zaskoczona, wsłuchiwałam się w odgłosy natury, szum wiatru. Wbrew początkowej niechęci całą sobą chłonełam to miejsce, od czasu do czasu delektując się dźwiękiem swego głosu. Jakoś dziwnie brzmiał w tej głuszy. Tak słabo,][samotnie, a wraz z nadchodzącym zmierzchem coraz niepewnej. Bo czekała mnie cała długa noc. Wokół żywej duszy. Zamek w drzwiach wejściowych wyglądał na mało solidny, ten w drzwiach pokoju nie lepiej. Nie byłam tchórzem, o nie, ale tym razem czułam się wyjątkowo nieswojo. Nagle przypomnially mi się te wszystkie straszne historie o

duchach, filmy o nieproszonych gościach – zarówno z tego, jak i z tamtego świata. Nie powinnam o tym rozmyślać, bo to, zamiast rozwiać obawy, dodatkowo mnie nakręcało. W końcu zdesperowana wyciągnęłam z walizki butelkę czerwonego wina, które miało być luksusowym dodatkiem do obiadu.

„Co tam, bardziej przyda się teraz”.

Po dwóch kieliszkach się rozluźniłam, po trzecim zaczęła mnie ponosić wyobraźnia. Zwłaszcza na wspomnienie błękitnych oczu Kuby i tego, co będę mogła zrobić, jak już wyremontuję i sprzedam tę posiadłość. Może długie wakacje w tropikach? Albo objazdowa wycieczka po Europie? A może znacznie dalej? Azja? Australia? Nowa Zelandia?

„O, właśnie! Zawsze marzyłam o Nowej Zelandii. I o Seszelach...”

Rozmarzyłam się bardziej niż na wspomnienie o Kubie. Tak bardzo, że dopiero kiedy jedna ze świeczek zgasła, cichutko sycząc, zorientowałam się, że jest już ciemno. Słysząc było tylko cykające wokół świerszcze. W blasku księżyca szumiące delikatnie wierzchołki drzew, niezgłębiona czerń lasu i nieco jaśniejsze niebo pełne gwiazd, robiły niesamowite wrażenie. Nie miałam pojęcia, że niebo może być aż tak usiane gwiazdami. Uśmiechnęłam się sama do siebie, potem głośno roześmiałam.

Świeże powietrze, emocje i alkohol działały cuda, bo zasnęłam, ledwo przyłożywszy głowę do poduszki.

Obudziło mnie mocne walenie w drzwi wejściowe. Wygrzebałam się spod kołdry i zerknęłam na zegarek. Było po ósmej. Niby wcześniej, ale ekipa remontowa

musiała się dobijać od dobrej godziny, bo mieli stawić się o siódmej. Z jękiem poderwałam się z łóżka i w pośpiechu, zapinając nałożoną naprędce bluzę, zbiegłam z głośnym rumorem po schodach.

– Już myślałam, że coś ci się stało – powitał mnie Kuba z doskonale słyszalnym wyrzutem w głosie. – Dobijamy się od dobrych dwudziestu minut.

– To nie tak długo – wyrwało mi się. – Znaczy, chciałam powiedzieć, że myślałam...

– Też się spóźniliśmy. Kłopoty ze sprzętem. Masz mocny sen.

– Uhm – przytaknęłam, nie zdradzając, że ten mocny sen zawdzięczam wczorajszej imprezie sam na sam z księżycem i butelką wina. – Może zaczniemy od kawy?

– Szybkiej kawy. Nie lubię opóźnień. Najpierw was sobie przedstawię. Chodź, czekają na zewnątrz.

Szczelniej otuliłam się bluzą, dopinając ją prawie pod samą szyję. Nie żebym się bała czy wstydziła, ale wciąż byłam zaspana, a na dodatek nie myłam jeszcze zębów. Nie wiem dlaczego, ale to zawsze odbierało mi sporo pewności siebie. I marzyłam o mocnej kawie...

– Nasza gospodyni, Alina. A to jest Adam. – Kuba wskazał na niewysokiego facecika, który wygodnie rozsiadł się na schodach wejściowych. Miał roześmiane oczy oraz całkiem łysą głowę. Na mój widok niemal podskoczył i z zapalem uściśnął mi rękę. – To Konrad i Mateusz. – Wskazał na chudego dryblasa i korpulentnego blondyna. Ostatni był chyba najstarszy w naszym skromnym towarzystwie. – A ten zarośnięty troglodyta to Sebastian. Wiem, wygląda jak człowiek pierwotny, ale zapewniam, że jest niegroźny i łagodny jak baranek –

zażartował Kuba.

„Niegroźny? Łagodny jak baranek? Nie powiedziałabym”.

Był wysoki. Tak bardzo, że musiałby pochylić lekko głowę, przechodząc przez próg. Miał szerokie ramiona i wąskie biodra. Skórę spaloną na brąz i pokrytą tatuażami. Półdługie, rozwichrzone, ciemne włosy i gęsty zarost. W zasadzie twarz prawie nie była widoczna w tej gęstwinie. Jedyne oczy, zmrużone, czarne, mierzyły mnie nieprzyjawnym spojrzeniem. Cofnęłam się speszona, bo przy takim olbrzymie nawet ja ze swoim metr osiemdziesiąt wydawałam się malutka. Podałam mu na powitanie rękę, jak każdemu. Kontrast pomiędzy moją delikatną, jasną skórą, a jego szorstką i ciemną był ogromny. Uścisk dłoni był szybki, nie za mocny i nie anemiczny, powiedziałabym raczej, że neutralny.

Nie spodobał mi się. Wzbudził niepokój. Pomyślałam, że tak właśnie mógłby wyglądać rasowy przestępca, gwałcieiel czy morderca. Jak Kuba mógł kogoś takiego zatrudnić? I na dodatek twierdzić, że darzy go zaufaniem? Reszta ekipy nie budziła moich zastrzeżeń, ale na samą myśl o tym, że będę musiała spędzić w towarzystwie tego mężczyzny ponad dwa miesiące, poczułam strach. I coś jeszcze, czego nie potrafiłam nazwać, a co wywołało we mnie niepokój. Czym prędzej potrząsnęłam głową i ponowiłam propozycję kawy na dobry początek dnia. Zgodzili się ochoczo, oczywiście oprócz ich zarośniętego towarzysza. Ten nie wypowiedział dotąd ani słowa, ale również usiadł przy stole i zatopił wzrok w widoku za oknem, jakby nie interesowało go nic poza tym.

I dobrze. Bo gdyby patrzył na mnie, to chyba nie dałabym rady przygotować ani jednej filiżanki kawy.